

TRAMWAJ „POŻĄDANIE”

fol. Bednarski



Kawka (Stanley) i Dygatówna (Blanche)

Rozszerzając skalę repertuaru, teatr w londyńskim Ognisku, chyba po raz pierwszy w historii emigracyjnych usiłowań teatralnych, zwrócił się w stronę współczesnego dramatu obcego. Wybór padł na głośną, szeroko graną i już sfilmowaną sztukę Tennessee Williamsa „A Street Car Named Desire”. Ukazała się ona w Nowym Jorku w r. 1947. Gdy w dwa lata później grano ją w Londynie z Vivian Leigh w głównej roli, pisałem o niej obszernie.

Oczywiście nie ma sensu zestawianie polskiej inscenizacji na szczupłej scenie kameralnej z inscenizacją amerykańską w odkrywczych dekoracjach Jo Mielnizera, w ujęciu reżyserskim Elie Kazana (Laurence Olivier jedno i drugie prawie bez zmian przeszczepił na deski londyńskie). Nie więcej sensu ma porównywanie jednej i drugiej obsady. Słuszniej jest rozważyć założenia i efekt tego wypadu w strefę dotąd nie tykana.

Odważna inicjatywa Kielanowskiego zasługuje na pochwałę i podtrzymanie. Pożądane jest zetknięcie widzów, którzy w olbrzymiej większości nie oglądają teatru obcojęzycznego, z wybranymi utworami dzisiejszej dramaturgii. Inna rzecz czy w danym przypadku nie zdecydowano się na to trochę za późno. Na naszych oczach, prawie z roku na rok, Williams stał się pisarzem już wczorajszym. W tej chwili ostatni krzyk mody a może potrzeby wewnętrznej stanowi groteskowa, szydercza, cyniczna wizja świata zarysowana przez Dürrenmatta, Becketta, Ionesco i Pintera. Kto wie czy wystawienie znakomitej „Policji” Mrożka, należącej już do tego nowego kręgu widzenia, nie natrafiło na opory właśnie z tej przyczyny, że pośrednie ogniwo edukacji teatralnej nawiązano z tak dużą zwłoką.

Może dlatego że dramat Williamsa stał się już po trochu utworem historycznym, zabrzmiął ze sceny Ogniska o wiele mniej szokująco niż przed laty. Złagodziło szok także jego ujęcie przez Kielanowskiego. Przysłuchił się jaskrawości, ściszył brutalne tony. Szedł bardziej w kierunku sztuki psychologicznej niż naturalistycznego obrazu środowiska. Podkreślił melodramatyczność, ale nie zatracił tego co jest siłą utworu: zagęszczenia, skłębienia aury seksualnej, ostrego rysunku charakterów i konfliktów.

Reżyserowi udało się znaleźć wykonawców zdolnych podźwignąć głów-

ne role: Blanche du Bois i Stanleya Kowalskiego. Jeśli nie dla czego innego, to dla tych dwóch kreacji warto było wystawić dzieło Williamsa. Wśród wielu złożonych motywów, które powołują na scenę takie inne dzieło dramatyczne, nie jest to motyw najbliższy.

Dygatówna ukazała się jako aktorka już w pełni dojrzała. Jej modelunek neurotycznej, wykołonej, zagubionej w świecie i w sobie dziewczyny, nimfomanki i mitomanki, zadziwiał wytrzymaniem w szczegółach, delikatnością i wyrazistością. Zwłaszcza w częściach końcowych, kiedy Blanche pod ciężarem przeszłości, zawodu miłosnego i zgwałcenia przez szwagra stacza się na dno obłędu — Dygatówna była głęboko przejmująca a nie wpadła w kliniczną jaskrawość.

Kawka wydobyl z postaci Stanleya rysy chłopskiej chytrłości i samczej siły, był kancłasty, wybuchowy, prymitywny ale z tym wszystkim ludzki, nieodpychający. Zwłaszcza moment pijackiej i seksualnej rozpacz po kłótni z żoną odsłonił w nim prawdziwego aktora. Należałoby zrobić wszystko żeby sobie zapewnić jego współpracę na stałe. Wypełnia on poważną lukę, jest po prostu niezbędny.

Do poziomu tej pary podciągnęła się reszta zredukowanej do niezbędnego minimum obsady: Suzinówna jako kobieco normalna, roślinna Stelia, Chudzyński („Mitch” z kilkoma akcentami szczerzego liryzmu), Mroczkowska i Ratschka.

Brak było nieocenionego Orłowicza, ale Fabian nienajgorzej poradził sobie ze złożonym zagadnieniem rozplanowania przestrzeni scenicznej. Rozszerzwszy proscenium zmieścił w niej dwie izby, piętérko i ulicę, ale nadużył efektu wychodzenia i wchodzenia aktorów przez widownię.

W chwili, gdy to piszę, dochodzą wiadomości o kryzysie stawiającym pod znakiem zapytania byt teatru, który zdobył się na takie osiągnięcie. Nie zajmowałem się na tym miejscu sprawami organizacyjnymi, ale dziś trzeba ich dotknąć, bo weszły one w znak apokaliptyczny. Ten teatr jest ostatnim teatrem na emigracji. Pozostało mu już tak niewiele rezerw ludzkich, moralnych i materialnych że łatwo go zatracić bez reszty i bez ratunku. Ci, co ponoszą odpowiedzialność, powinni o tym pamiętać. Póki jeszcze nie za późno.

Tymon Terlecki.